Robert J. Gordon i koniec wyjątkowego stulecia

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Robert J. Gordon w swojej analizie podważa optymistyczne założenia o nieskończonym postępie, wskazując na unikalny charakter stulecia 1870–1970. Autor dowodzi, że współczesna gospodarka mierzy się z czterema „wiatrami przeciwnymi": demografią, edukacją, nierównościami oraz długiem publicznym, które trwale obniżają dynamikę wzrostu. Tekst rzuca nowe światło na różnicę między statystycznym wzrostem PKB a realnym dobrobytem odczuwanym przez obywateli, podkreślając znaczenie mediany dochodów. Gordon krytycznie ocenia wpływ nowoczesnych technologii i sztucznej inteligencji, sugerując, że ich potencjał transformacyjny może być mniejszy niż wynalazków z przeszłości. To prowokacyjna lektura dla każdego, kto chce zrozumieć mechanizmy kształtujące naszą ekonomiczną przyszłość i granice cywilizacyjnego rozwoju w dobie narastających wyzwań fiskalnych i społecznych.

In his analysis, Robert J. Gordon challenges optimistic assumptions of infinite progress, pointing to the unique nature of the century 1870–1970. The author argues that the contemporary economy faces four "headwinds": demography, education, inequality, and public debt, which permanently reduce growth rates. The text sheds new light on the difference between statistical GDP growth and the real well-being experienced by citizens, emphasizing the importance of median income. Gordon critically assesses the impact of modern technologies and artificial intelligence, suggesting that their transformative potential may be less than that of past inventions. This is a provocative read for anyone seeking to understand the mechanisms shaping our economic future and the limits of civilizational development in an era of growing fiscal and social challenges.

Artykuł poddaje w wątpliwość bezkrytyczne przekonanie o nieustannym postępie i wzroście dobrobytu, kwestionując tradycyjne miary ekonomiczne, takie jak PKB, jako adekwatne wskaźniki jakości życia. Autor, odwołując się do analiz Roberta J. Gordona,

argumentuje, że powszechny wzrost standardu życia, obserwowany w "wyjątkowym stuleciu" (1870-1970), nie jest automatycznie powtarzalny. Obecnie, nawet przy innowacjach technologicznych, działają "wiatry przeciwne" - nierówności dochodowe, problemy w edukacji, zmiany demograficzne i obciążenie fiskalne - które hamują realny wzrost dobrobytu dla większości społeczeństwa. Artykuł demaskuje iluzję, że wzrost PKB automatycznie przekłada się na poprawę jakości życia, podkreślając znaczenie analizy dystrybucji dochodów i kosztów ukrytych w postępie technologicznym. Celem jest pobudzenie refleksji nad tym, co naprawdę mierzymy i czy nowoczesny kapitalizm zapewnia powszechny awans materialny, czy jedynie konwersję wzrostu w dywidendę właścicielską.

SŁOWA KLUCZOWE

Robert J. Gordon | wyjątkowe stulecie | wiatry przeciwne | PKB per capita | dochód rozporządzalny | mediana dochodów | nierówności społeczne | demografia | dług publiczny | innowacje technologiczne | produktywność | automatyzacja | ekonomia dobrobytu | postęp cywilizacyjny | statystyka ekonomiczna

Wyjątkowe stulecie: unikalna era skokowego wzrostu

Ekonomia, jeśli ma być czymś więcej niż buchalterią epoki, musi odróżniać ruch od postępu, a wzrost od dobrobytu. Musi też oddzielać to, co jest prawem natury, od tego, co bywa tylko prawem zwyczaju, wygodną filozofią klasy zarządzającej. Albo, co gorsza, od tej psychologicznej skłonności, która każe nam wierzyć, że raz zapalone światło musi już płonąć wiecznie. Robert J. Gordon w swojej świetnie udokumentowanej i demonstracyjnie niesentymentalnej genealogii nowoczesności proponuje antyromantyczny aksjomat. Stwierdza on, że lata 1870–1970 były „wyjątkowym stuleciem” nie dlatego, że ludzkość nagle zmądrzała, lecz dlatego, że skumulowały się wtedy fundamentalne technologie, które mogły zaistnieć tylko raz. Dotyczyły bowiem przejścia od warunków niemal średniowiecznych do w pełni usieciowionej codzienności. Gdy raz doprowadzono bieżącą wodę, kanalizację, prąd i telefon, dom z samotnej wyspy stał się węzłem w globalnej sieci. Tego samego skoku cywilizacyjnego nie da się powtórzyć, tak jak nie da się drugi raz odkryć ognia w tej samej jaskini.

Złudzenie liniowości: błąd ekstrapolacji tempa wzrostu

Jeśli potraktować tę tezę poważnie, staje się ona czymś więcej niż historyczną impresją: jest ostrzeżeniem metodologicznym. Ostrzeżenie jest proste: nowoczesność myli się w swojej własnej autoreklamie, ponieważ pielęgnuje nawyk ekstrapolacji, który w naukach empirycznych uchodzi za grzech pierworodny, a w kulturze biznesu – za cnotę. Ekstrapolacja podpowiada, że skoro wczoraj było szybciej, to jutro też będzie; a jeśli jest wolniej, to znaczy, że „innowacje się skończyły" albo „ludzie nie chcą pracować". Gordon proponuje jednak diagnozę trudniejszą. Nawet jeśli innowacje się nie skończą i technologiczny „silnik" będzie pracował na pełnych obrotach, istnieją potężne przeciwsiły – „wiatry przeciwne".

Działają one nie w laboratoriach i halach produkcyjnych, lecz w strukturze demograficznej, w dystrybucji dochodu, w instytucjach edukacji oraz w nieubłaganej arytmetyce państwa opiekuńczego. I te właśnie przeciwsiły mogą sprawić, że dla większości – nie dla średniej, lecz dla mediany – wzrost realnego standardu życia będzie sprawą niemal nieodczuwalną. W najbardziej znanej wersji argumentu Gordon wymienia sześć takich „wiatrów", dodając do rdzenia także globalizację, energię i środowisko oraz nawis długu. W późniejszym obiegu myśl ta często kondensuje się do czterech sił, ponieważ zmienia się miernik: z abstrakcyjnego „PKB per capita" na znacznie bliższy ciału „dochód dla 99 %". Wtedy najostrzej tną właśnie nierówności, edukacja, demografia i fiskus.

PKB: ułomny miernik realnego dobrobytu społecznego

Zanim jednak rzucimy się w wir sporu o „wiatry" hamujące wzrost, warto zdemaskować ukryty warunek tej debaty, czyli pytanie: co właściwie mierzymy? Produkt krajowy brutto – osławiony PKB – jest miarą rynkowego przepływu, sumą wartości dóbr i usług wytworzonych w gospodarce. To wskaźnik użyteczny dla księgowych narodowych, lecz psychologicznie zdradliwy, ponieważ podszywa się pod miarę dobrobytu, milcząco zakładając, że liczy się tylko to, co ma cenę, a reszta stanowi nieistotne tło. Robert Gordon – w duchu precyzyjnej krytyki pomiaru, a nie antyrynkowej moralistyki – pokazuje, że w „wyjątkowym stuleciu" ogromna część realnej poprawy jakości życia dokonała się poza cennikiem: spadła śmiertelność, wzrosło bezpieczeństwo, skrócił się czas pracy i zmalała jej fizyczna uciążliwość, zaoszczędzono czas w gospodarstwach domowych, poprawiono jakość produktów i stworzono zupełnie nowe, które statystyki przez lata traktują jako „zero", gdyż w koszyku dóbr rewolucja ta zostaje odnotowana dopiero wtedy, gdy zdąży już spowszednieć. To nie jest kosmetyczna korekta, lecz fundamentalne przypomnienie, że PKB ma strukturę wagi kuchennej: waży składniki, nie mówi zaś nic o smaku potrawy. Czasem, gdy w kuchni pojawia się

rewolucyjny piec, waga uparcie pokazuje te same kilogramy mąki, choć chleb jest już nieporównanie lepszy.

Nierówności dochodowe: filtr hamujący dynamikę wzrostu

Pierwszy z wiatrów – nierówność – jest w tej architekturze czymś znacznie więcej niż tematem politycznej poprawności czy moralnego wzburzenia. To mechanizm, który odsącza owoce wzrostu, zanim dotrą one do społeczeństwa. Jeżeli bowiem dochody z kapitału puchną szybciej niż dochody z pracy, a sam kapitał jest w dodatku mocno skoncentrowany, to wzrost gospodarczy staje się statystyczną iluzją. W sensie ekonomii dobrobytu jest to wzrost „średni", który dla większości pozostaje niewyczuwalny. Gordon, idąc tropem analiz pokazujących rozziew między średnią a medianą, traktuje nierówność jak klin wbijany między PKB per capita a typowy dochód rozporządzalny. I tu właśnie pojawia się pytanie, proste, lecz w praktyce biznesowej uznawane za nietaktowne: czy firmy, które z dumą raportują wzrost marż i wydajności, posiadają jakiekolwiek mechanizmy, by ten wzrost zyskał społeczną legitymizację? Jeśli nie, nierówność przestaje być „złym nastrojem", a staje się ryzykiem systemowym, bo niszczy fundament zgody na obowiązujące reguły gry. W tym punkcie ekonomia przestaje być nauką o krzywych popytu, a staje się nauką o warunkach istnienia porządku społecznego.

Na tym polu ścierają się dwie skrajne narracje, które należy ze sobą skonfrontować. Pierwsza, liberalno-technokratyczna, głosi, że nierówności to po prostu cena za efektywność, naturalna funkcja różnic w talencie i produktywności, z niewielką premią za ryzyko. Druga, radykalno-krytyczna, odpowiada: nierówności to nieunikniony, immanentny produkt uboczny własności prywatnej i samego kapitalizmu; nie ma żadnej „ceny", jest tylko czysta relacja władzy. Gordon w swojej argumentacji omija te jałowe spory. Nie potrzebuje ani antropologii „talentów", ani metafizyki „wyzysku". On po prostu pyta, co dzieje się ze wskaźnikami dobrobytu większości, gdy dochody koncentrują się na samym szczycie. To podejście jest zimne jak arkusz kalkulacyjny, a przez to niezwykle trudne do zbycia moralizatorskim gestem. Właśnie dlatego Gordon jest dla świata biznesu tak niewygodny: odbiera mu możliwość narracyjnego rozgrzeszenia, ponieważ twarde mierniki dystrybucji okazują się miernikami ryzyka.

Stagnacja edukacyjna: wiatr przeciwny dla produktywności

Drugi wiatr, edukacja, pada ofiarą banalnej interpretacji: „Ameryka musi po prostu lepiej uczyć". Robert Gordon nie mówi tego jednak z perspektywy pedagoga, lecz historyka produktywności. W XX wieku powszechna edukacja działała jak potężny system transmisyjny, rozprowadzając po społeczeństwie kompetencje, które pozwalały gospodarce wchłaniać nowe technologie. Kiedy ten proces zwalnia – czy to przez nasycenie rynku, rosnące koszty, czy niewydolność instytucji – gospodarka traci łatwe, strukturalne paliwo do wzrostu. Edukacja jest tu więc wzmacniaczem zarówno dla innowacji, jak i dla równości szans, i właśnie dlatego jej los jest nierozerwalnie spleciony z nierównościami. Wysokie nierówności hamują masową mobilność edukacyjną, a słabsza mobilność utrwala nierówności, zamykając błędne koło. W tym miejscu nowoczesność zapętla się we własnych sprzecznościach: nierówność dusi edukację, niedouczone społeczeństwo gorzej adaptuje technologię, a wolniejsza adaptacja wzmacnia pozycję tych, którzy już posiadają kapitał.

I tu na scenę wkracza inna skrajność, szczególnie popularna w świecie biznesu: teza, że sztuczna inteligencja i automatyzacja poznawcza „zdemokratyzują kompetencje", bo inteligentne narzędzia wyrównają braki w wiedzy. To myśl tak kusząca, że aż domaga się sceptycyzmu. Owszem, niektóre narzędzia obniżają próg wejścia do pewnych zawodów. Jednak w organizacjach często działa prawo odwrotne: zaawansowane technologie zwiększają wydajność przede wszystkim tych, którzy już posiadają głębokie kompetencje, by sensownie nimi pokierować. W takim scenariuszu AI nie jest substytutem edukacji, lecz jej potężnym multiplikatorem. A multiplikator, przyłożony do nierównej bazy, jedynie potęguje nierówność wyniku. Biznes woli wierzyć w „demokratyzację", bo to wygodna opowieść zwalniająca z obowiązku inwestowania w trudne reformy społeczne. Nauka, gdy pozostaje uczciwa, wie jednak, że dyfuzja technologii to proces społeczny i instytucjonalny, a nie akt technologicznej magii.

Starzenie się społeczeństw obniża realny standard życia

Trzeci z wiatrów, demografia, jest siłą najbardziej obojętną na kulturę, bo nie poddaje się ani moralizowaniu, ani entuzjazmowi. Starzenie się społeczeństw i przechodzenie na emeryturę całych pokoleń zmienia arytmetykę gospodarki w sposób bezlitosny, niemal mechaniczny: kurczy się odsetek pracujących, a rośnie grupa pobierająca świadczenia. W klasycznym ujęciu

makroekonomicznym oznacza to wzrost współczynnika obciążenia demograficznego i spadek liczby przepracowanych godzin na mieszkańca. Gordon używa tej twardej logiki, by pokazać, że nawet przy solidnym wzroście produktywności na godzinę wzrost dochodu „na osobę" może być anemiczny. W języku potocznym brzmi to jak narzekanie na starość; w języku ekonomii jest to chłodna relacja między produktywnością, zatrudnieniem i strukturą populacji.

Demografia to jednak coś więcej niż prosta księgowość urodzeń i zgonów; jest sprzężona z edukacją i nierównościami. W starzejącym się społeczeństwie rośnie polityczna siła seniorów, a wraz z nią presja na obronę raz zdobytych świadczeń. To z kolei zaciska pętlę na finansach publicznych. A presja fiskalna w warunkach głębokich nierówności ma to do siebie, że rzadko uderza w najzamożniejszych, co prowadzi do obciążeń dla klasy średniej i dalszego rozwarcia nożyc między średnią a medianą. Kto myli medianę ze średnią, ten myli społeczeństwo z wykresem. Demografia nie jest więc tylko biologią; jest także geometrią konfliktu politycznego.

Wiatr fiskalny: dług publiczny uszczupla dochody

Czwarty wiatr – fiskus, czyli ciężar długu publicznego – jest tym elementem układanki Gordona, który najłatwiej zinterpretować opacznie, myląc go z moralnym kazaniem. Gordon jednak nie jest kaznodzieją nawołującym do cnoty oszczędności. Jego teza ma charakter czysto proceduralny: państwo, obciążone zobowiązaniami wobec starzejącej się populacji i rosnącymi kosztami opieki zdrowotnej, staje przed nieuchronną korektą fiskalną. Ta korekta przybierze formę albo wyższych podatków, albo cięć świadczeń, albo inflacyjnego rozwodnienia realnej wartości długu, albo jakiejś kombinacji tych trzech narzędzi. W każdym z tych scenariuszy dochód rozporządzalny gospodarstw domowych rośnie wolniej niż cały PKB. I to jest sedno. Fiskus nie musi zdusić silnika gospodarki; wystarczy, że zmniejszy strumień paliwa, który trafia do naszych baków. Właśnie dlatego dług publiczny jest w modelu Gordona „wiatrem" dystrybucyjnym: rozszerza szczelinę między tym, co gospodarka wytwarza, a tym, co społeczeństwo realnie może skonsumować.

W tym miejscu, skoro esej ma być bezkompromisowy, trzeba zderzyć ze sobą dwie skrajne frakcje w tej fiskalnej wojnie domowej. Pierwsza, szkoła surowej oszczędności, czyli polityka oszczędnościowa, traktuje dług jako zło samo w sobie, a jego redukcję za moralny i ekonomiczny imperatyw, nawet za cenę recesji; w tej logice państwo jest jak zadłużone gospodarstwo domowe, które musi „zacisnąć pasa". Druga, szkoła radykalnej ekspansji fiskalnej, utrzymuje, że państwo emitujące własną walutę nie ma realnych ograniczeń finansowych, więc dług nie jest problemem, dopóki nie pojawi się inflacja. Obie szkoły mają w sobie ziarno prawdy i potężną dawkę iluzji. Iluzją pierwszej jest przenoszenie logiki domowego budżetu na skalę makro, z pominięciem

stabilizacyjnej roli państwa. Iluzją drugiej jest ignorowanie brutalnej ekonomii politycznej: inflacja i podatki nigdy nie rozkładają się sprawiedliwie, a sama „możliwość emisji" nie eliminuje konfliktu o to, kto ostatecznie zapłaci rachunek.

Gordon – w swoich najbardziej trzeźwych momentach – nie próbuje rozstrzygać tego ideologicznego sporu. On jedynie przypomina, że w brutalnej praktyce politycznej korekta fiskalna i tak nadejdzie, bo demografia i rosnące koszty leczenia są siłą potężniejszą niż teorie ekonomiczne. Jeśli więc ktoś chce „obalić Gordona" argumentem, że dług nie ma znaczenia, musi pokazać coś więcej niż elegancki model. Musi, nie w teorii, lecz w konkretnej instytucjonalnej praktyce, zademonstrować, jak utrzymać realną siłę nabywczą świadczeń przy rosnącej armii beneficjentów, nie sięgając jednocześnie głębiej do kieszeni pracujących. To jest test zderzenia z rzeczywistością. Test, który nie wybacza retoryki.

AI i krzywa J: szansa na przełamanie stagnacji Gordona

Krytyka statystycznych mierników ma w sobie nutę niebezpiecznie kojącą dla współczesnego menedżera. Skoro PKB nie mierzy wszystkiego, to może stagnacja jest tylko złudzeniem, a produktywność rośnie po cichu, poza radarem oficjalnych wskaźników. Tę wygodną linię obrony, o ironio, wzmacniają dziś technooptymiści. Twierdzą oni, że rewolucja AI wymaga najpierw „komplementarnych inwestycji niematerialnych", czyli całej tej niewidocznej pracy: przebudowy procesów, reorganizacji firmy i zdobycia nowego know-how. Koszt tych zmian jest natychmiastowy, lecz zysk rozłożony w czasie, co prowadzi wprost do słynnej krzywej J produktywności Brynjolfssona, Rocka i Syversona. Wyjaśnia ona, dlaczego początek rewolucji technologicznej do złudzenia przypomina stagnację, zanim wystrzeli w górę. Argument jest teoretycznie elegancki i brzmi znajomo: w każdej firmie najpierw płaci się za chaos reorganizacji, a dopiero potem czerpie zyski z jego okiełznania.

Średnia vs mediana: statystyczne maskowanie ubożenia

Gordon jednak nie daje się uśpić tym kojącym wytrychem. Jego pesymizm nie wynika bowiem z prostej tezy, że „technologia jest słabsza", lecz z diagnozy znacznie bardziej dotkliwej dla ładu społecznego: nawet jeśli technologia jest potężna, jej owoce mogą zostać zneutralizowane przez instytucjonalne kliny. Kliny wbite między produkcję a dystrybucję, między wydajność a dochód rozporządzalny, między „to, co możliwe" a „to, co realnie otrzyma większość". Tu właśnie zaczyna

się praca pojęciowa, która oddziela ekonomię od buchalterii. Dochód rozporządzalny nie jest wszak tym samym co dochód pierwotny; to kwota po podatkach i transferach, czyli to, co gospodarstwu domowemu faktycznie zostaje do wydania. A mediana nie jest średnią: to punkt, w którym połowa ma mniej, a połowa więcej. Kto myli medianę ze średnią, ten myli społeczeństwo z wykresem, a politykę gospodarczą z bilansową estetyką.

Właśnie w tej szczelinie – między statystyczną średnią a realnym doświadczeniem mediany – Gordon umiejscawia cztery „wiatry przeciwne", które hamują wzrost standardu życia większości. Nierówności działają tu jak potężny filtr: PKB może rosnąć, lecz cały strumień trafia do wąskiej gardzieli najzamożniejszych. Edukacja przypomina wysychający dopływ: gospodarka wciąż generuje innowacje, lecz brakuje masowego wzrostu kompetencji, który niegdyś podnosił produktywność szerokich warstw społecznych. Demografia działa niczym mechaniczny hamulec: nawet przy rosnącej wydajności na godzinę, spada ogólna liczba godzin pracy na osobę, przez co wynik na mieszkańca rośnie wolniej. Wreszcie fiskus, czyli zadłużenie i presja wydatkowa państwa, działa jak ukryty klin. Nie musi on niszczyć TFP – łącznej produktywności czynników produkcji, rozumianej jako ta część wzrostu, której nie da się wyjaśnić samym przyrostem kapitału i pracy – lecz może systematycznie odbierać część przyrostu z kieszeni obywateli, bo przyszłe podatki i cięcia świadczeń są ceną dzisiejszych zobowiązań.

Medycyna po 1970: era malejących korzyści ekonomicznych

Wróćmy jednak do „wyjątkowego stulecia", bo bez niego cztery „wiatry" Gordona wyglądają jak pospolita lista problemów społecznych. On tymczasem chce czegoś więcej: chce udowodnić, że XX-wieczny cud był cudem infrastruktury i zdrowia, a nie cyfrowej magii, i że jego źródła były jednorazowe. Kluczowy jest tu cud zdrowotny, fundament narracji o dobrobycie, którego nie da się zmierzyć. W pierwszej połowie stulecia największe zyski w długości życia przyniosły rewolucje sanitarne: czysta woda, kanalizacja, higiena i opanowanie chorób zakaźnych. Po roku 1970 postęp medyczny przesuwa się na front chorób przewlekłych, gdzie każdy kolejny miesiąc życia jest droższy i trudniejszy do wywalczenia.

W logice Gordona wygląda to tak: kiedyś poprawa zdrowia przypominała zasypanie fosy z krokodylami, która oddzielała dzieciństwo od dorosłości. Dziś jest jak montowanie coraz bardziej wyrafinowanych poręczy na schodach starości – moralnie chwalebne, ekonomicznie rujnujące, statystycznie mało spektakularne. I tu jego krytyka PKB wraca z całą mocą. PKB ma bowiem strukturę wagi kuchennej: waży koszt rur i pensje lekarzy, ale nie mówi nic o smaku potrawy, czyli

wartości przeżytego życia. A jednak fiskus, w przeciwieństwie do PKB, skrupulatnie liczy koszty opieki, bo te mają cenę. Ten asymetryczny zapis sprawia, że polityka zdrowotna staje się dla państwa opiekuńczego problemem nie tylko moralnym, ale przede wszystkim fiskalnym.

Nieużyteczność pracy: ewolucja trudu w dobie technologii

Podobnie rzecz ma się z „warunkami pracy". Robert Gordon przypomina, że „wyjątkowe stulecie" przyniosło fundamentalną ulgę: zredukowało „nieużyteczność pracy", czyli disutility of work. To pojęcie z ekonomii dobrobytu opisuje po prostu biologiczny i psychiczny koszt, jaki ponosimy, by zarobić na życie. Przejawiało się to w skróceniu tygodnia pracy, przejściu od fizycznej harówki do lżejszych zajęć, pojawieniu się klimatyzowanych biur, zmechanizowanych pól i radykalnym spadku śmiertelności w miejscu zatrudnienia. Jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy, nowoczesność nie polegała tylko na tym, że więcej konsumowaliśmy. Polegała przede wszystkim na tym, że mniej cierpieliśmy, zarabiając na tę konsumpcję. To jakościowy skok, którego PKB nie potrafi zmierzyć, bo cierpienie nie ma ceny, dopóki nie pojawi się w rubryce „koszty leczenia" lub „absencja".

I tu właśnie tkwi fundamentalna aporia naszej cyfrowej ery. Technologia informacyjna jest olśniewająca w sferze komunikacji, lecz czy w równie spektakularny sposób redukuje ludzki koszt pracy, jak czyniły to elektryczność, kanalizacja i mechanizacja? A może po prostu dokonuje subtelnej zamiany? Może przenosi ciężar z obolałych mięśni na szarpane nerwy, zastępując fizyczny znój poznawczą presją i psychicznym kostem nieustannej dostępności? To pytanie, w nauce o pracy i codziennej praktyce HR, staje się dziś równie palące, jak odwieczna debata o wzroście całkowitej produktywności czynników produkcji, czyli TFP.

Sieciowy dom: jednorazowa rewolucja standardu życia

Wreszcie „sieciowy dom" – obraz, który Gordon stosuje – jest zarazem historyczny i filozoficzny, bo opisuje fundamentalne przejście od izolowanej jednostki do węzła w potężnej infrastrukturze. To metafora, która powinna zawstydzać naszą współczesną dumę z cyfryzacji, bo przypomina, że największa rewolucja w życiu codziennym nie polegała na dostępie do informacji, lecz na posiadaniu wody w kranie, światła po zmroku i toalety. Chodziło o zniesienie przymusu codziennego, fizycznego dźwigania własnego przetrwania. Dla ekonomisty to argument o produktywności czasu, dla kulturoznawcy – o rewolucji form życia, dla prawnika – o infrastrukturze jako instytucji równości, bo dopiero sieć czyni standard powszechnym. Dla

finansisty wreszcie – o kapitałochłonności realnego dobrobytu. Z tej perspektywy „wyjątkowe stulecie" było epoką, w której kapitał, publiczny i prywatny, zbudował materialne fundamenty masowej autonomii. Takiej autonomii nie da się wyklikać na żadnym interfejsie.

Rozdźwięk produktywności i płac: bariera dla popytu

W świecie biznesu to napięcie nie jest jałowym, akademickim sporem; to realna mapa ryzyka. Z jednej strony mamy szkołę, nazwijmy ją „gordonowską", która postrzega Zachód jako dojrzałe, nieco ociężałe przedsiębiorstwo. Cała jego energia jest przeznaczana na utrzymanie tego, co już istnieje: konserwację infrastruktury, obsługę długu i łagodzenie wewnętrznych sporów o podział zasobów. Innymi słowy – na koszty stałe. Z drugiej strony istnieje szkoła „krzywej J dla AI", która twierdzi, że obecne lata to tylko faza siewu i inwestycji niematerialnych. Tuż za rogiem czeka faza żniw, kiedy te same organizacje, angażując mniej ludzkiej pracy, będą generować znacznie więcej dzięki automatyzacji procesów poznawczych. Raporty McKinseya czy Goldmana Sachsa, szacujące potencjał sztucznej inteligencji na biliony dolarów rocznie, stały się oficjalną ścieżką dźwiękową globalnego zarządzania. To nie tyle wiara w cud, ile chłodna kalkulacja, że przewagę konkurencyjną zdobędzie ten, kto szybciej wdroży nowe narzędzia.

Praktyka, jak to często bywa, okazuje się jednak mniej heroiczna od wielkich narracji. Bo nawet jeśli sztuczna inteligencja jest potężnym silnikiem, to kluczowe pytania pozostają te same: kto siedzi za kierownicą, kto trzyma stery, a przede wszystkim – kto płaci za paliwo? W ostatnich miesiącach korporacyjny przekaz odsłania to, co Gordon nazwałby dystrybucyjnym charakterem rewolucji. Banki i firmy konsultingowe mówią jednym tchem o wzroście produktywności i o redukcji zatrudnienia. Opowiadają o zastępowaniu zadań młodszych pracowników przez algorytmy, o redukcji ról zaplecza i o nowym „cyfrowym proletariacie", który nie potrzebuje urlopu ani składek. To jeszcze nie są twarde dane makroekonomiczne, ale to już wyraźny sygnał z poziomu mikro. Dowodzi on, że nawet jeśli AI zapewni obiecany wzrost, jego przełożenie na medianę dochodów nie nastąpi automatycznie. Wszystko zależy od siły przetargowej pracowników, regulacji i podatków. Biznes woli mówić o „efektywności". Gordon kazałby zapytać wprost: a gdzie w tym wszystkim jest dochód rozporządzalny większości?

Dług państwa: mechanizm redystrybucji wstecznej

W tym właśnie sensie zadłużenie państwa jest u Gordona „wiatrem" osobliwym. Nie niszczy on silnika innowacji, lecz działa jak prąd wsteczny, który spycha łódź w stronę portu przyszłych

zobowiązań, zaciągniętych już dzisiaj. Dzisiejszy odbiór tej tezy przypomina intelektualne przeciąganie liny. Z jednej strony ekonomiści wierni tradycji stagnacji sekularnej – czyli diagnozy, wedle której rozwinięte gospodarki cierpią na chroniczny niedobór popytu i anemię naturalnych stóp procentowych – widzą w Gordonie empirycznego sojusznika. Spowolnienie produktywności, presja fiskalna i nierówności zbiegają się w ich modelu w jeden ponury obraz, gdzie polityka gospodarcza staje się permanentną walką o każdy ułamek procenta. Na drugim biegunie środowiska technologiczne i finansowe odrzucają jego diagnozę jako zwykły błąd perspektywy. W ich języku rewolucja dopiero się zaczyna, a jej owoce są jedynie opóźnione przez prozaiczne przeszkody: reorganizację, regulacje i niedobór talentów. Stąd optymistyczne prognozy z raportów inwestycyjnych i konsultingowych, które wprost zapowiadają skokowy wzrost produktywności napędzany przez sztuczną inteligencję, obiecując podniesienie globalnego PKB w horyzoncie jednej dekady.

Kryzys kapitalizmu: zerwana więź wydajności z awansem

Tu dochodzimy do sedna intelektualnej prowokacji, którą warto postawić czytelnikowi profesjonalnemu. Tylko on nie obrazi się na pytanie, lecz potraktuje je jak test jakości rozumowania. Czy spór o Gordona nie jest w gruncie rzeczy referendum nad tym, czym stał się nowoczesny kapitalizm? Czy to wciąż mechanizm zamieniający wzrost wydajności w powszechny awans materialny, czy już tylko maszyna do konwersji tego wzrostu w dywidendę właścicielską? Masom w zamian dostarcza się cyfrowe pocieszenie: tanią rozrywkę i tańszą komunikację – rzeczy wygodne, lecz niebudujące egzystencjalnego bezpieczeństwa. Pytanie to jest niewygodne, bo nie da się go rozbroić technologiczną opowieścią. Ono dotyczy instytucji, a te zarządzanie najchętniej ignoruje, dopóki nie uderzą w rachunek ryzyka.

> Czy w pogoni za cyfrową doskonałością nie tracimy z oczu fundamentalnych aspektów ludzkiego dobrostanu? W świecie, w którym algorytmy obiecują efektywność, warto zadać pytanie, czy ta efektywność służy wszystkim, czy tylko nielicznym. Być może prawdziwy postęp nie polega na nieustannym wzroście, lecz na sprawiedliwym podziale owoców tego wzrostu.

Inspiracje

[1] "The rise and fall of American growth" Robert J. Gordon

2016 | Princeton University Press

Amerykański ekonomista i profesor nauk społecznych im. Stanleya G. Harrisa na Uniwersytecie Northwestern. Wiodący ekspert w dziedzinie inflacji, bezrobocia i długoterminowego wzrostu gospodarczego. Znany z prac na temat wzrostu gospodarczego, produktywności, inflacji i pomiaru cen w USA. Autor książki „The Rise and Fall of American Growth".

American economist and Stanley G. Harris Professor of the Social Sciences at Northwestern University. Leading expert on inflation, unemployment, and long-term economic growth. Known for work on U.S. economic growth, productivity, inflation, and price measurement. Author of 'The Rise and Fall of American Growth'.

Northwestern University

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

[1] "Challenges to interdependent economics: the industrial West in the coming decade"

Robert J. Gordon, Jacques Pelkmans

1979 | McGraw-Hill



[2] "Macroeconomics"

Robert J. Gordon

2013 | Pearson Higher Ed | ISBN: 9781292035284



[3] "The Measurement of Durable Goods Prices"

Robert J. Gordon

2007 | University of Chicago Press | ISBN: 9780226304601

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[4] "The Second Machine Age: Work, Progress, and Prosperity in a Time of Brilliant Technologies"

Erik Brynjolfsson, Andrew McAfee

2022 | Everest Media LLC | ISBN: 9781669377290



[5] "Machine, Platform, Crowd: Harnessing Our Digital Future"

Andrew McAfee, Erik Brynjolfsson

2017 | W. W. Norton & Company | ISBN: 9780393254303



[6] "Technological Unemployment, Basic Income, and Well-being"

Fabio D'Orlando

2023 | Taylor & Francis | ISBN: 9781000937640



[7] "Economic Transformations: General Purpose Technologies and Long-Term Economic Growth"

Richard G Lipsey, Kenneth I Carlaw, Clifford T Bekar

2005 | OUP Oxford | ISBN: 9780191558092



[8] "General Purpose Technologies and Economic Growth"

Elhanan Helpman

1998 | MIT Press | ISBN: 9780262082631

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "From Tailwinds to Headwinds : Emerging and Developing Economies in the Twenty-First Century"

Mirco Balatti Mozzanica, Ayhan Kose, Kate Frances Mckinnon, Edoardo Palombo, Naotaka Sugawara, Guillermo Verduzco Bustos, Dana Vorisek

2025 | World Bank Group

Google Scholar

[2] "Similarities and Differences in the Adoption of General Purpose Technologies"

Ajay K. Agrawal, Joshua S. Gans, Avi Goldfarb

2023 | NBER Working Paper

Google Scholar

[3] "The Productivity J-Curve: How Intangibles Complement General Purpose Technologies"

Erik Brynjolfsson, Daniel Rock, Chad Syverson

2021 | American Economic Journal: Macroeconomics

Google Scholar

[4] "Artificial Intelligence and the Modern Productivity Paradox: A Clash of Expectations and Statistics"

Erik Brynjolfsson, Daniel Rock, Chad Syverson

2019 | National Bureau of Economic Research

Google Scholar

[5] "GPTs are GPTs: Labor market impact potential of LLMs"

Tyna Eloundou, Sam Manning, Pamela Mishkin, Daniel Rock

2024 | Science

Google Scholar

[6] "Understanding Technological Unemployment: A Review of Causes, Consequences, and Solutions"

Yuri Lima, Carlos E. Barbosa, Jano Moreira de Souza

2021 | Societies

Google Scholar

[7] "Macroeconomics and Market Power: Context, Implications, and Open Questions"

Chad Syverson

2019 | Journal of Economic Perspectives

Google Scholar

Artykuły pokrewne (Google Scholar):

[8] "Is U.S. Economic Growth Over? Faltering Innovation Confronts the Six Headwinds"

Robert J. Gordon

2012 | National Bureau of Economic Research

Google Scholar

[9] "The time-varying NAIRU and its implications for economic policy"

Robert J. Gordon

1997 | Journal of economic Perspectives

[10] "Computers and output growth revisited: how big is the puzzle?"

SD Oliner, DE Sichel, JE Triplett, RJ Gordon

1994 | Brookings Papers on Economic Activity

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 1f4d89ba-2c92-45ac-9dc3-ebd653817460